WŁADYSŁAW ORKAN

OFIARA

FRAGMENT

W 3 AKTACH Z R. 46.

Bibljoteka domowa
GOLINSKICH
№ 67.

Golińscy

KRAKÓW 1905.
SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“ GRODZKA 50.
WARSZAWA: G. CENTNERSZWER I SKA.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA
w Kielcach

101631

Prawa manuskryptu wobec scen zastrzega się.

OSOBY

Jan, właściciel wsi.
Marya, jego żona.
Piotr, sąsiad bliższy.
Paweł, sąsiad dalszy.
Magdusia, służąca.
Jerzy, Władysław, Stefan, Kazimierz, Leon — studenci.
Jędrzej, Walek, Rokita, Jastrząb, Kukulec, Łozina — chłopi.
Matus, syn Jastrzębia.
Urlopnik.
Józef, furman.
Kubuś, lokajczyk.
Posłaniec.
Dziad.
Gość I.
Gość II.
Gość III.
Gość IV.
Goście — Parobcy — Gospodarze — Tłum.

Rzecz dzieje się we dworze Jana, w trzech po sobie następujących dniach. Stroje z okolic Tarnowa.

MELODYA Z DRUGIEGO AKTU „OFIARY“.

Andante.

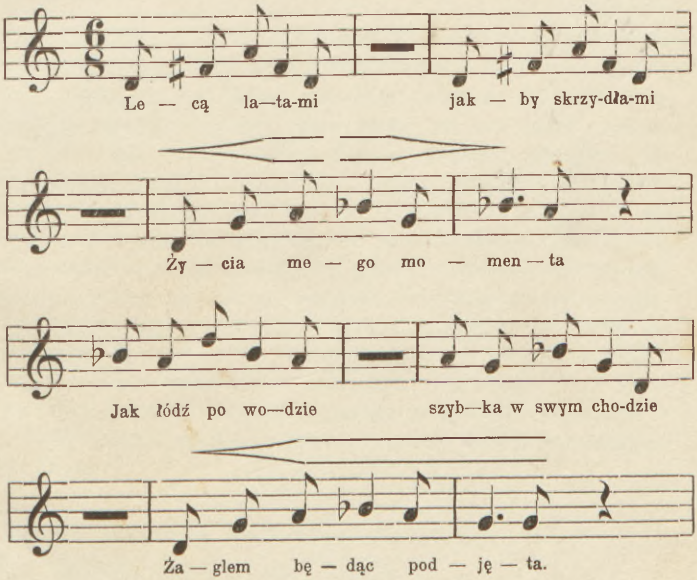

AKT I.

Scena I.

Pokój obszerny — półsalon, półjadalnia. Na środku długi stół i stołki drewniane, wysokie (niemieckie zydle). Na ścianach sztychy i podobizny: Staszyca, Kościuszki, Lelewela. Także na ścianach duży zegar. Na wprost — drzwi i dwa okna, po za niemi weranda oszklona. Przez szyby widać drzewa obielone śniegiem. Na lewo dwoje drzwi, z tych jedne, dalsze, prowadzą do kuchni. Na prawo również dwoje drzwi; z dalszych, wiodących do pokoju gościnnego, dolatuje rozgwar męzkich głosów. **Jan,** średniego wzrostu, w trzydziestu paru leciech, o twarzy Chrystusowej, krąży po pokoju zamyślony, omijając instynktownie stołki w nieładzie poustawiane. Podchodzi ku werandzie, przeciera dłonią szyby i patrzy na dwór — potem wraca, poczyna szybciej krążyć, z widocznem zniecierpliwieniem — przystaje — nasłuchuje — i znów dalej krąży. Mrok. W przyległym pokoju gwar zwolna się ucisza — za chwilę słychać stamtąd stłumiony mocno **Chór** unisono męzkich głosów.

„Zgasły dla nas nadziei promienie,
Noc dokoła otacza nas blada, —
Wstańmy jako upiorów gromada,
We krwi wrogów ugaśmy pragnienie!“

Jan podczas śpiewu zatrzymuje się, pięść opiera o stół i stoi, zapatrzony przed się, z pochyloną głową. Mrok coraz ciemniejszy, tylko śnieg przez szyby rzuca białość do pokoju. Cisza.

Scena II.

Jan, Marya, później Leon.

Marya bez szelestu otwiera pierwsze drzwi na lewo, staje, podchodzi do Jana.

Janie!... mówi serdecznie, z rezygnacyą.

Jan przyciągając ją zlekka ku sobie.

Dziecko, tak musi być.

Chór za sceną.

„Cóż my winni, że kochać nie możem,
Gdy się wszystko tak podli i karli,
My dla ziemskich rozkoszy umarli,
Żyjmy zemstą i święćmy ją nożem!“

Leon otwiera nagle drzwi.

Czy już przyjech...? dojrzawszy ich w mroku dwoje razem, cofa się i zamyka drzwi zwolna za sobą.

Jan.

Niecierpliwią się, że ich nie widać. I mnie niespokojność trapi, czy co nie zaszło... Tak się to niespodzianie przybliżyło. O czem człowiek marzył dopiero — już się staje... Nie dziw, że się serce trwoży...

Marya.

A nie możnaby oddalić do wiosny...

Jan.

Nie, dziecko. Już nie można. Wszystko przygotowane. Każdy dzień przedłużony może sprowadzić nieszczęście.

Marya.

Boże! Boże!

Jan.

Paweł wyjeżdżał do Krakowa. Podobno już dzień oznaczono.

Marya.

Nie chciałabym być — Boże nie daj! — wróżką; ale mam takie przeczucie straszne, że to za wcześnie...

Jan.

Cóż robić... Już wstrzymać nie można. Pozostaje tylko jedno: wierzyć, mimo wszystko... Pauza.

Marya.

Jakie to rozpacznie smutne...

Jan.

Ha! smutne... poczyna chodzić w zamyśleniu po pokoju wzdłuż koło stołu.

Marya stoi przy stole z pochyloną głową.

Jan.

Jak to podobne rzeczy dziwnie odmiennie się wydają oczom i sercu — w różnym czasie... Pamiętam... miałem czternaście lat wówczas, gdy przyszła wieść o powstaniu w Warszawie w 31-ym. Przywiózł ją do nas do domu staruszek, trzęsący się, jak żabi skrzek, ze strachu. Cóż to za radość była w mojem sercu! Takiej uciechy drugiej — mało uciechy — takiego szału wesela nie pamiętam. Ojciec gromił w surowych słowach mężów, o których mówiono, że wybuch spowodowali — ja wielbiłem ich, jak półbogów. Nocami przemyśliwałem nad ucieczką z domu — śniłem niebezpieczeństwa — sławę — widziałem się już generałem... Z jakim zapałem czyściłem pokryjomu znaleziony w rupieciach stary, rdzą pogryziony pałasz. Wszystko wtedy grało we mnie wesołością — serce paliło się płomieniem... Nadzieja wielkich rzeczy szła od tych wypadków... A dziś... gdy się jest blizko czynu... smutek od tych spraw wieje...

Chór studentów za sceną.

„Zgasły dla nas nadziei promienie,
Noc dokoła otacza nas blada...“

Jan.

Żałuję, że nie jestem, jak dawniej, jednym z tych wierzących młodo...

Marya.

Jesteś mój wielki! mój święty! Przytula się ku niemu.

Jan.

Śpiewając tę pieśń, nie czują jej beznadziei... Szczęśliwy, kto nie widzi w rzeczach ziemskich smutku... Ten może bohatersko umrzeć... w Termopilach...

Marya.

Mówisz tak beznadziejnie, a przecież może Bóg dać...

Jan.

Sama powiedziałaś, iż masz przeczucie straszne...

Marya.

...że to zawcześnie. Ale któż może przewidzieć...

Jan.

Wtedy jakieś tchnienie wielkie powietrzem szło... Powietrze grało, jakby je Bóg uczynił orkiestrą naszej sprawy... Gdy teraz nic — znikąd pobudki... jeno pobudka w sercach i w sumieniach, jakby na jaki sąd... jak gdyby ludzie mieli powstać, podnosząc wieka, z trumien... Powietrze nawet duszne, parne. I coś w powietrzu jest, co nęka — jakby zmora nad tą krainą w powietrzu

zawisła — skrzydłami, po horyzonty rozpiętemi, słońce i niebo przesłania — cień od nich pada na ziemię... na duszę... lękiem...

Marya z trwogą.

Janie!

Jan.

Przebacz, nie trwóż się... Ja tylko wrażenie swoje... To pewnie złuda, sen przemęczonej myśli, jednej jedynej myśli o zbawieniu... wskazując w stronę studentów. Wszak ci nie czują tego.

Marya.

Nie. Jest coś, jak mówisz, w powietrzu, czy w nas — ja sama zauważyłam... Ludzie chodzą, jak we śnie. Sny zaś dziwnie wyraźne...

Jan zachodzi do okna.

Nie widać... Wraca.

Marya.

Nie mówiłam ci... Śniło mi się ubiegłej nocy, że jakieś wojsko wpadło do naszego domu. Ale to niby wojsko, a nie wojsko, bo ani broni nie mieli, ani mundurów na sobie... prędzej jak banda żebraków. Wpadli i rzucili się naprzód na obrazy. Zerwali portret ojca twego (ten za szkłem) i po-

częli deptać. Byli bosi. Widziałam, jak szkło przerzynało im nogi, i potem, gdzie stąpili — zostawały na podłodze za nimi krwawe stopy... Poczęłam wołać na ciebie i nie wiem co, bom się znalazła wśród pustki straszliwej, a pamiętałam, co się stało — z trwogi o ciebie poczęłam płakać i w tym płaczu się zbudziłam. I wiesz, nie gniewaj się... Rano zdjęłam portret ojca i położyłam go na szafie.

Jan jakby ostatnie słowa tylko słyszał.

Czemu to uczyniłaś?

Marya.

Bo mi przypominał ten przykry sen, ile razy przeszłam koło niego. Jeśli chcesz, to go powieszę napowrót.

Jan z umysłu nie odpowiada.

Głos za sceną.

W pokoju!...

Jan.

Idź Maryo — przygotuj — może już nadjadą...

Całuje ją w czoło.

Marya w milczeniu wychodzi.

Scena III.

Jan sam — później **Magdusia.**

Jan po wyjściu Maryi podchodzi do okna, opiera skroń o szybę i patrzy.

Chór studentów za sceną.

„Wiatr szumnie wionął po pustym stepie“...

Magdusia wchodzi z kuchni ze świecą w ręku — idzie w stronę pierwszych drzwi na prawo.

Cicho wszędy... Jeno się serce tłucze... zatrzymuje się przy stole O Matko Boska! co ja się tak trwożę? Powiem... postępuje i znowu przystaje Choć może to jeno strach mój... powiem — niech bedzie co chce... otwiera drzwi, zagląda, poczem zamyka je napowrót. Niema...

Jan od okna.

Czy mnie szukasz?

Magdusia upuszcza świecę, która gaśnie, poczem schyla się i podnosi.

O Boże! jakżem się zlękła...

Jan.

I ciebie, widzę, sny trapią. Zbliża się ku niej. Cóż chciałaś mi powiedzieć?

Magdusia.

Chciałam powiedzieć, że... jeszcze nie przyjechali... to jest...

Jan.

Coś dziwnie mówisz.

Magdusia.

To jest, chciałam powiedzieć, że... przypada do kolan i chwyta rękę Jana, by ją ucałować. Niech się pan nie gniewa na mnie!

Jan.

Dziecko, o cóż bym się gniewał...

Magdusia.

O ja wiem, że pan dobry... najświętszy!

Jan.

Tak nie mów...

Magdusia.

I po próżnicy się trwożę... Panu nikt nic złego nie zrobi. Bo pan dla wszystkich dobry. Pan taki, jak sam Pan Jezus...

Jan w zamyśleniu.

Którego ukrzyżowali...

Magdusia chwytając się za piersi.

O!...

Jan.

Cóż tobie?

Magdusia.

Tak zabolało... nagle Słyszałam, że ma do pana przyjść Matus z ojcem — niech im pan nie wierzy, bo oni... słychać dzwonki sań.

Scena IV.

Jan, Magdusia, Studenci.

Studenci wpadając ciżbą.

Jadą!

Jan gorączkowo.

Światła! za odchodzącą Magdusiu! ta wchodzi do kuchni.

Studenci wyglądając przez okno.

Dwoje sanek... Piotr... Paweł! otwierają drzwi na werandę Witajcie! Witajcie!!

Magdusia wnosi lichtarze, stawia je i odchodzi.

Scena V.

Ciż, prócz Magdusi, **Paweł i Piotr.**

Jan idzie ku drzwiom, gdzie cisną się już studenci i otaczają wchodzących Piotra i Pawła, — dostawszy dłoń Pawła:

Ah! jesteś nareszcie! i ty Piotrze... wita ich serdecznie.

Studenci razem.

Wiadomości!

Jerzy.

Zgłodzeni czekamy od południa.

Kazimierz.

Wyśpiewaliśmy wszystkie znane pieśni... Przeszliśmy całą historyę pamięcią, od Indusów począwszy...

Stefan.

Stoczyliśmy siedm walnych kłótni...

Władysław.

A pan Jan chodzi od rana w gorączce, chwilki nawet nie spoczął.

Piotr do studentów.

Dajcież mi odetchnąć.. Uf! zdejmuje futro — ociera zmarznięte wąsy. To ci zima!

Leon.

Wspaniała jazda, co? deklamuje z patosem „Oto zapusty! Dalej kulikiem! Każdy wesoły...“ do Kazimierza Nie znasz? Słowacki!

Jerzy gdy Jan z Pawłem rozmawia na boku.

Panowie, głośniej! i my chcemy coś usłyszeć.

Paweł występując na przód.

Panowie! pojutrze...

Jerzy.

Pojutrze!... Władek, słyszysz? pojutrze!

Paweł.

Każdy otrzyma hasło... Czuj duch! Godzina uderzy...

Studenci ze łzami rzucają się sobie na szyje.

Władek! Jurek! Leonie! Potężny chór:
„Cóż my winni, że kochać nie możem,
Gdy się wszystko tak podli...“

Piotr.

Ciszej! ciszej! bo służba...

Jan.

Piotrze! nie zlewaj zimną wodą. U mnie służby niema.

Piotr.

Jakto? obchodzisz się bez służby? Sam przecież widziałem...

Jan.

Tak. To są moi zaufani... mówią ze sobą na boku.

Jerzy.

O jerum! Władku drogi! pojutrze, pojutrze!

Leon skanduje.

„Skąd Lit-wini wra-cają?
Z nocnej wra-cają wy-cieczki...“
Ha! ha! obejmuje za szyję Kazimierza.

Stefan do Pawła.

Jakże okolica?

Paweł.

Czeka jeno hasła.

Jerzy.

Czuj duch! Wesele! ostatni dzień! Hurra!!

Leon.

„Wesoło — zbrojnie — wrzawa — śmiech pusty —
A znasz ty polskie zapusty?“
Co? wiesza się na szyi Kazimierza.

Piotr do Jana.

A ja ci powiem: Nie ufaj tak bardzo, bo już nie jeden...

Jan.

Nie przekonasz. Darmo. Wierzaj mi: Serce jest jedyną spójnią...

Piotr.

Śpiewasz swoją odwieczną pieśń...

Jan.

I nie przestanę. Tak mi Panie Boże dopomóż.

Wszyscy milkną.

Piotr.

Amen.

Paweł.

Cóż to?

Piotr.

Nic. Jan przysięga na wiarę, którą od kołyski wyznaje, już po raz setny...

Marya wchodzi — za nią **Magdusia** z przekąską na tacy.

Scena VI.

Ciż, Marya i Magdusia.

Paweł i Piotr zbliżają się ku Maryi.

Pani Maryo! całują ją w rękę.

Marya.

Kiedyż? kiedyż?

Leon.

„Zagrzmiały rogi — Jezus Marya! naprzód!!“

Studenci.

O! Urra!!

Marya do Pawła.

Tak prędko?

Paweł.

I dnia odwlekać nie można.

Magdusia postawiwszy na stole przekąski, odchodzi.

Jan do Piotra i Pawła.

Proszę. Raczcie przekąsić z drogi. Piotr i Paweł siadają.

Marya.

Ha! zamyśla się Zobaczę jakiego to pojutrze świętego... idzie zwolna ku lewej stronie.

Jerzy podbiega.

Pani Maryo! Pani Maryo! Niech mnie pani pobłogosławi... całuje jej ręce.

Studenci biegną razem.

I mnie! i mnie! i mnie!

Marya uśmiecha się przez łzy.

Wszystkich, wszystkich! Kochani chłopcy... Wchodzi Jastrząb z Matusem.

Scena VII.

Ciż, Jastrząb, Matus.

Jastrząb przy drzwiach do Matusa.

Zdejm czapkę, kluku, nie widzisz, kielo to panów?!

Studenci cisną się ku Maryi, która odpina wstążki.

I mnie! i mnie! i mnie!!

Marya jak wyżej.

Wszystkim się dostanie... obdziela.

Matus.

Komedyje wierutne...

Jastrząb cicho.

Stul pysk.

Jerzy do Maryi.

Jedziemy dziś!

Studenci wesołym chórem.

Dziś w nocy!

Leon.

„Oto zapusty! Dalej kulikiem!
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem...
Ho! świt przed nami...

Ho! noc za nami...
Dalej i dalej!“ do Kazimierza:
Nie znasz? Słowacki! Te dwa ostatnie...

Kazimierz.
To ty?

Leon z dumą.
Zgadłeś — to ja.

Marya odchodzi.

Scena VIII.

Ciż, prócz **Maryi.**

Jastrząb ociera wąsy i chrząka.

Jan zwraca się — zobaczył stojących przy drzwiach.
Proszę dalej! odwraca się, wesoło przedstawiając. Mój sąsiad: pan Jastrząb ze synem... Ci się kłaniają. Tych panów znacie...

Jastrząb kłania się powtórnie w stronę stołu. Jan zwraca się do Piotra, który, wskazując na Matusa, o coś zapytuje.

Matus do ojca.
Rety! To ten, co mnie tak łońskiego lata bez łeb zwalił... Poczkaj sumarze! Dostanę ja cię w garść...

Studenci chórem.

„Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala wciąż jedzie.“

Chodzą grupą wszerz pokoju — niektórzy za ramiona się trzymają.

Jerzy do Jastrzębia.

Cóż — ociec — bedzie wojna?

Jastrząb dyplomatycznie.

Aa jak ta panowie zechcą. Studenci mrugają na siebie z uśmiechami — Jan przy stole rozmawia jeszcze z Piotrem.

Matus do ojca.

Co ono sie ich telo zebrało? —

Jastrząb.

Stul pysk. Patrz i słuchaj. Nie mów nic...

Jerzy do kolegów.

Pójdą z nami! Ujrzycie! Ja głowę daję za to.

Studenci chórem.

„Raz pamiętam z wieczora
W Racławicach stoimy —

Jastrząb zbliża się do Jana.

Zaszliśmy do was, panie, wedle tego, com miał rzec...

Jan.

Proszę siadać. Wskazuje stołki.

Matus.

Nie trza, nie, postoimy.

Jastrząb.

Wedle tego niby, że Matus chciałby sie żenić...

Jan.

Z Magdusią?

Jastrząb.

E... z Magdusią, jak Magdusią, ale prędzej z Wiktą, wiecie, tego Łoziny łysawego córką...

Jan.

To źle.

Matus.

Co źle?

Studenci chórem.

„Dalej chłopcy — dalej żywo...“

Jerzy.

Oni to radzi będą słyszeć — no!

Władysław.

Zaczekajmy, niech skończą rozmowę.

Jan.

Bo ja słyszałem, że on Magdusię obiecankami uwiódł...

Matus.

Jaki to pan śmieszny. Na cóżbych był obiecował, jakbych sie miał żenić? —

Piotr do Pawła.

Któż widział z chamstwem takie ceregiele? To się ośmiela...

Jan.

Zawiązał los dziewczynie porządnej...

Jastrząb.

Gdzie ona tam porządna! Ani pół morga nie bedzie mieć...

Jan.

Słuchajcież, jak o to chodzi, to ja dam posag Magdusi.

Jastrząb.

Łozina daje trzysta śrebra...

Stefan.

Ja będę miał mundur zielony.

Leon.

Tylko wszyscy jednakie czapki! I sokole pióra!

Władysław.

Dobry pomysł, ale jakie? batorówki, czy krakuski?

Leon.

Nie — musimy inne wymyśleć.

Jerzy.

Czasu mało. Zresztą, co tam, możemy tak iść, jak jesteśmy, byle broń była uczciwa.

Leon.

Nie, mój kochany — umundurowanie piękne dużo stanowi. Pomyśl, naprzykład: książe Józef Poniatowski bez pięknego munduru — jakby wyglądał? No pomyśl... Przyznasz, żeby dużo stracił.

Stefan.

Więc zastanówmy się nad tem...

Matus do Jana — kręcąc głową.

Nie widzi mi sie... Mitręga zawdy z dzieckem...

Jan z oburzeniem.

A czyjeż to? Nie twoje?

Matus.

He! he! he! Kto wie? Różne bywają trefunki. Można sie tak pomylić!...

Piotr do Pawła — przy stole.

Surowość przedewszystkiem...

Paweł.

Sprawiedliwość...

Piotr.

No tak — sprawiedliwość, ale i surowość przytem, bo inaczej: podasz palec, to za rękę chwycą.

Stefan.

Ja przy piechocie.

Leon.

A ja przy konnicy. „Wiatry z drogi — wichry z drogi!...“

Kazimierz.

Jerzy pewnie do artyleryi przystanie. Śni mu się Bonaparte, który jako artylerzysta rozpoczął...

Władysław.

Jeno czy będzie artylerya?

Jerzy.

Zgódźmy się na jedno, abyśmy razem być mogli.

Kazimierz i Władysław.

Brawo! ale na co? —

Jastrząb do Jana.

Ano — bedziemy jeszcze widzieć... Kłania się, patrząc bacznie po wszystkich dokoła.

Jan do Jastrzębia.

Więc tak. Namyślcie się jeszcze. Jutro... nie... pojutrze, tak... proszę na obiad... I sąsiadom powiedzcie...

Jerzy.

Teraz! Teraz!

Studenci chórem.

„Dalej chłopcy — dalej żywo,
Otwiera się dla was żniwo...“

Jerzy.

Ostro! już odchodzą...

Studenci chórem.

„Rzućcie kosy — rzućcie radło,
Trza wojować, kiej tak padło“.

Jastrząb idąc do drzwi z Matusem śmieje się ku śpiewającym, ci się życzliwie odśmiewają.

Matus do Jana który ich odprowadza.

To... pojutrze?

Jan.

Tak. Nie zabaczcie.

Matus.

I drugim powiemy!

Studenci chórem.

„Niechaj baba gospodarzy,
Niech pilnują roli starzy,
Wy parobcy, zagrodniki, i t. d.

Magdusia staje we drzwiach kuchni — obaczywszy Matusa, cofa się.

Matus.

~~He! he!~~ Wdziewa czapkę i znika za ojcem.

Scena IX.

Ciż prócz **Jastrzębia i Matusa.**

Piotr do Pawła.

Horrendum!

Jerzy do kolegów.

Aleśmy ich wzięli? co? Jak im się oczy śmiały! Widzieliście?

Jan wraca zamyślony ku stołowi.

Paweł wstaje.

Janie! Ja nie rozumiem wprost, jak ty możesz tak postępować z nimi... „Proszę siadać — sąsiedzi — raczcie przyjść na obiad“ — Co to wszystko ma znaczyć?

Jan.

Żyję z nimi, jak z ludźmi. Czemuż cię to dziwi?

Paweł.

Wiem. Słyszałem. Wiadoma rzecz powszechnie. Ale aż tak... Nie, doprawdy, że trudno uwierzyć. Chyba dyplomacya? A, to znowu co innego. Ale ci powiem, Janie, że się mylisz. Mylisz się, sądząc, że ich tą dobrocią zjednasz...

Jerzy.

Za pozwoleniem, panie Pawle...

Paweł do Jana.

Próbowałem i ja dobrocią — nie poradzi. Zjedzą ci wszystko, jeszcze cię wyśmieją. Nie znasz ich. Widzę, że nie znasz swoich ludzi. Twój sąsiad zna ich lepiej. Wskazuje na Piotra. I wiesz, co sąsiad powiadał...

Piotr.

Ten młodszy, który tu był z ojcem (czy z kim tam), kradł mi stojaki żyta. Mieszkają widać na granicy. Sprałem...

Jan.

I wierzysz, żeś go przez to oduczył kradzieży?

Paweł.

Ale się będzie bał!

Jan.

Niewolnik wieczny...

Paweł.

Czy on wolność rozumie? Bojaźń mu jeszcze będzie długo panem...

Jerzy występując.

Ja w imieniu praw człowieka muszę zaprotestować...

Koledzy za nim.

Śmiało!

Jerzy z naciskiem.

Muszę zaprotestować...

Paweł.

Prawa człowieka. Tak... Wspaniałe hasło. Nadejdzie chwila może...

Studenci razem.

Już nadeszła!

Paweł ostro.

Mnie życie samo dyktuje prawa: twarde i ostre, jak ta ziemia, którą muszę orać...

Piotr wstając.

O — to jest dobrze powiedziane. Ja ze sąsiadem trzymam — niech się co chce dzieje. Te nowinki nie podobają mi się — to z Francyi emisaryusze poprzywozili i przewracają ludziom głowy...

Jan.

Historya tej ziemi...

Piotr.

Co tam — suchy szpargał...

Jan.

Nie, Piotrze — zagony wilgne od krwi, to nie suchy szpargał! Zapala się. I nowe potoki poleją się napróżno, dopóki morze ludu nie wystąpi! Iluż nas jest? A choćby piekłem serca nasze wrzały — zginiemy...

Studenci z trwogą.

Nie! —

Jan.

...jeżeli z nami nie powstanie lud.

Paweł.

Janie! Wygłaszasz stare prawdy.

Jan.

Lecz sam w nie wierzę!

Studenci.

Tak — i my wierzymy!

Paweł.

Na tej wierze oparta i nasza sprawa. Wiesz dobrze. Uczyniliśmy wszystko, aby zatrzeć niechęć zadawnioną. Przynieśliśmy im ulgi...

Jan.

Lecz nie dajemy serc!

Studenci.

Tak — nie dajemy serc!

Paweł.

Dajemy życie swoje za przyszłość jego — czyż to mało?

Jan.

Chcesz, by uwierzył w to po tylu wiekach ucisku?

Chcesz, by za jeden dzień zapomniał długiej przeszłości? Ukochał ziemię tę, co była jego macochą?

Paweł postępuje ku niemu — serdecznie.

Janie! jakżeż to — i ty?

Jan.

Nie wątpię, bo inaczej nie wierzyłbym w czyn.
Lecz wiara moja ma dalsze granice... Jutro —
to jutro jest dziwnie rozpaczne... Serce zamiera
z trwogi, choć duch wierzy... do zgromadzonych. Słuchajcie!
Jeśli ma powstać lud — niech wstanie wolny!
Niech stanie przy nas, jako bratu brat!
Bo najemników każdy kupić może —
Bojaźń nie wiąże, ale rodzi strach.
A któż nieufność na pomoc przyzywa,
Jeśli śmiertelny rozpoczyna bój? —
Otwórzmy serca nasze na oścież, niech widzi,
Że Chrystusowa miłość idzie z nas...
Zstąpmy do niego z miłością ogromną...

Paweł.

Janie! twój zapał przelatuje wieki...
Co będzie jutro — nie jest jeszcze dziś.
„Przemień go, przemień w króla i kapłana,
Lecz póki jeszcze nie przekrólewszczony
Nie klękaj przed nim! Nie kładź mu korony...“

Jan zrywa się ku niemu.

Wieszczysz słowami tych, co w strachu bledną! Jeżeli wiara moja fałszem będzie — zginę... Lecz z tego zgonu sto powstanie wiar — nowych i świeżych... Dogmaty padają... jedno uczucie nieśmiertelnie trwa! Dusi się. I nie wiem, skąd ja między wami się znachodzę...

Studenci.

Pawle! Janie! Po co te kłótnie w wiliję ofiary? po co? —

Jerzy.

Dwa dni oddziela nas od czynu...

Jan.

A wieki całe rozdzielają nas... Postępuje ku zgromadzonym. Słuchajcie, bracia! Wierzycie w przyszłość narodu — w jego słoneczną przyszłość południową?

Wszyscy.

Życie za wiarę tę łożymy!

Jan.

Czyż inaczej można ją zrozumieć, niż jako harmonię serc, jako jedno wielkie morze pojednania, nad którem słońce-sprawiedliwość krąży nie-

Miejska Biblioteka Publiczna Gdańska

ustannie? powiedzcie! Przed nami płonęły stosy — ginęły ofiary — dymiła się krew... Czyż marnie zginie posiew boży, nie zapalając serc? Dźwigamy się bezprawiem przywaleni — i znowuż mamy popiołami być, na których nowy zapanuje gwałt i nowe krzywdy ustanowią państwo?! Tak nie powstawał żaden lud prawdziwie — lecz jak powstawał, to od nowa — najstarsze prawa darł, nowe krwią wypisywał — więzienia nawet otwierał na oścież...

Jerzy.

Rewolucya francuska...

Piotr.

Co acan z rewolucyą...?

Jan.

...I dążył przez męt i zamęt ku harmonii istotnej, którą wyrażał trójimieniem: równość, wolność, braterstwo.

Paweł.

Czyż to hasło nie było na naszych sztandarach?

Jan.

Na sztandarach, a nie na sercach pisane... Z serc poczyńmy sztandary — niech się miłością roz-

żarzą — niech się staną promieniste, jak monstrancye niesione ku słońcu — za niemi ruszy lud procesyami...

Studenci.

Brawo!

Jan.

Któż się nam oprze, jeżeli miłość powiedzie? Miłość nie słowo — miłość-czyn! Ta cuda potrafi zdziałać. Widzieliśmy już taki cud w dziejach — rzesze idące na zdobycie świata...

Paweł.

Janie! Trwoga mi idzie od słów twoich... Widzę za twoim zapałem niewiarę. Tak właśnie mówią ci, co wątpią, aby zagłuszyć wątpienie.

Jan wybucha.

Mamyż my działa na armaty wroga? Mamyż okopy, szańce najeżone, mury, których by piersią nie rozwalił? Mamyż my nawet dosyć ciał, by, padłe, murami żywym się stały?

Paweł.

Właśnie o tem rozprawialiśmy w Krakowie. Okoliczności szczęśliwe. Kraj ogołocony z wojska — zanim zdołają ściągnąć...

Jan.

Rachuby!

Paweł.

Dokładniejsze obaczysz w planach, w instrukcyach...

Jan.

Jedyna nasza moc i siła w sercach! Rozżarzmy je do potęgi, aż do miłości-czynu! Wymażmy stare prawa, które ludowi są krzywdą, a nowe wypiszmy krwią serdeczną wspólnie. W tem przykazaniu serc spełnionem jedyna wiara zwycięstwa! Prawda, czas krótki. Ale czyż sercu jest czyn niemożliwy, jeżeli miłość nakazem? Jeden moment wystarczy, aby przekreślić księgi krzywd, pisane przez wieki całe! W momencie rodzą się światy. Nie stracmyż tego momentu! Myśl boża sercu się jawi wprzód, nim ją rozum człowieczy ogarnie. Wyczujmyż tę chwilę sercem, nim rozum dojdzie do niej po ofiarach. Chciałbym być głosem ogromnym, abym był wszędzie słyszany w tej chwili drżącej od poczęcia czynu. Niech serca nasze czuwają w tej martwej ciszy brzemiennej, bo myśli boże idą górą. Niech dzień ostatni przed czynem będzie jako ów wieczór ostatni, gdy Pan z uczniami pożywał. Ów wieczór przed Ofiarą był takim momentem, gdzie

się poczęła miłość-czyn, wiodąca później rzesze na zdobycie świata... I to jest moje pragnienie — jeśli chcecie: wiara. Chciałbym z tego pragnienia tysiące stworzyć płomieni, aby — jak Ducha świętego Zesłanie — w sercach zażegły moc ofiary, językom dały ognistą mowę miłości, duszom wątpiącym skrzydła... Cały tem pragnieniem żarzę się, goreję. Gdyby mi serce padło dać w ofierze, to cisnąłbym je całą siłą ducha, aby się jak meteor w tysiące gorejących krzemieni rozprysło, aby w tysiące serc oziębłych padły okruchy gorejące mojego serca strzaskanego!... Ofiarą cały spłonąłbym ochotnie, iżby wszyscy, w naturze swojej odrodzeni przez miłość-czyn, stali się gminą Chrystusową, jak owi rybacy prości, którzy w swych... sercach... pokor... słania się — głos mu wzruszeniem silnem drga.

Scena X.

Marya, która weszła podczas mowy Jana i stoi przy drzwiach, podbiega z krzykiem.

Janie!...

Paweł.

To nic... oddechu mu zabrakło.

Jan osuwa się na krzesło.

Piotr.

Po co się tak zapalać? Można to samo powiedzieć spokojnie.

Jerzy do Maryi.

Niech się pani nie obawia. To nieraz tak. Człowiek by chciał przelać serce swoje...

Marya w płaczu.

Ale jemu to szkodzi.

Jan podnosi się z trudem.

Maryo... nie grałaś dziś...

Marya.

Chcesz?

Studenci.

Niech pani gra! O pani Maryo!

Marya do Jana.

A ty?

Jan trze czoło dłonią.

Muszę pomówić... wskazuje oczyma na Pawła o Sprawie — chociaż...

Marya zbliża się.

Cóż?

Jan.

Lepiej żebyśmy sami zostali.

Marya do studentów.

To proszę... ale chyba coś bardzo smutnego...

Studenci.

Dobrze! dobrze! Będzie nam weselej. Wychodzą za Maryą.

Scena XI.

Jan — Paweł — Piotr — Magdusia.

Jan.

Więc... już... pojutrze... chwila milczenia — Piotr i Paweł chodzą zamyśleni.

Magdusia wchodzi — zbiera talerze ze stołu — zebrawszy, chce podejść do Jana — waha się — rzuca spojrzenie w stronę Pawła, który ją obserwuje — cofa się, odchodząc.

Paweł.

Kto jest ta dziewczyna?

Jan.

To — Magdusia... o której mówiłem z Jastrzębiami... cóż?

Paweł.

W postaci jej było coś... coś, jakby ciche ostrzeżenie... nagle Pewnym ty jesteś swojej wsi?

Jan.

Jak siebie samego.

Paweł.

To już nic. Chciałem ci tylko powiedzieć, byś nie ufał zbyt... chłopom, bo ja mam dowody, że...

Jan żachnął się — Paweł przerywa. Piotr zbliża się ku nim. Z za sceny słychać parę akordów fortepianowych.

Chór z fort. za sceną.

„Cóż my winni, że kochać nie możem... i t. d.

Paweł podchodzi, zamyka drzwi i wraca ku stołowi — siadają obaj z Piotrem.

Jan staje za nim, zapatrzony przed się.

Dziś musisz wracać?

Paweł.

Tak. Posłańcem tobie damy jutro znać... wyjmuje papiery na stół. A teraz wspólnie układajmy plan...

Jan d. s.

Pojutrze...

Chór z fort. za sceną.

„Wstańmy jako upiorów gromada
We krwi wrogów ugaśmy...“

Kurtyna spada.

AKT II.

Pokój ciemny we dworze Jana. Drzwi na lewo i na wprost — okna dwa na prawo, skąd białość śnieżna wpada do pokoju. W lewym rogu kominek — obok parę foteli — przy ścianie w prawym rogu biórko, obok na ścianie wyżej zegar.

Magdusia rozpala ogień na kominku.

Scena I.

Magdusia — Kubuś.

Kubuś otwiera boczne drzwi i zagląda do pokoju.

Magdusia schylona przy kominku odwraca głowę.

Czego chcesz? Czemu nie pukasz?

Kubuś.

Może do ciebie bedę pukał?

Magdusia.

Skąd-żeś wiedział, że ja? Mógł być pan w pokoju...

Kubuś.

Choćby był — to cóż wielkiego?

Magdusia.

Nie mam czasu przegadować się z tobą. Powiadaj, czego chcesz?

Kubuś.

Czego chcę, to chcę — to co tobie do tego?

Magdusia.

Wynoś się. Zamknij drzwi, bo mi ogień gasi...

Kubuś.

Ty tu nic nie masz do rozkazowania. Jaka pani...

Magdusia.

Powiem panu, jak nie usłuchniesz...

Kubuś.

To powiedz. Myślisz, że się boję? Wsuwa się jednak, przymyka drzwi i postępuje parę kroków.

Magdusia wstaje.

Ty... słuchaj... Kto cię to tak uczy? Skąd ty takiej śmiałości nabierasz?

Kubuś.

Skąd? Znikąd.

Magdusia.

Po co ty na wieś latasz? Jakie ty tam masz interesa?

Kubuś nieco stropiony.

Jakie mam, to mam — co ci o to?

Magdusia.

Ze złymi ludźmi przestajesz... Powiadam ci: strzeż się, bo oni cię na złą drogę wciągną... Ty ludzi jeszcze nie umiesz poznawać, toś powinien usłuchnąć, jak cię kto przestrzega. Wiem, że matki nie masz, co by ci to powiedziała, to ja ci to gadam. Chcesz duszę swoją zatracić? Widzisz — pan cię sierotą wziął do dwora i zaopiekował się tobą, jak swoim... a ty teraz, skoroś podrósł...

Kubuś ode drzwi.

Tyś głupia — wiesz? wychodzi i trzaska drzwiami.

Magdusia westchnąwszy, schyla się nad kominkiem.

Kubuś uchyla znowu drzwi.

Dziecko ci krzyczy! Znika.

Scena II.

Magdusia, Józef.

Magdusia podnosi się, idzie ku drzwiom, — słychać pukanie — we drzwiach staje Józef.

Z kuchni idziecie?

Józef.
Cóż?

Magdusia.
Nie płacze tam mała?

Józef.
Nie — śpi w kołysce...

Magdusia.
A wy do pana?

Józef.
Juści... Nie wiem, na kiedy te konie napaść.

Magdusia.
To ja się spytam. Wychodzi do drzwi na wprost.

Scena III.

Józef sam, potem **Magdusia i Jan.**

Józef chodzi po pokoju, przysuwa się do kominka i grzeje ręce.

Magdusia wchodząc.
Pan powiedział, że jeszcze nie wiadomo.

Józef.
To głupia mowa. Któż ma wiedzieć? Ja przecie nie bedę bez całą noc ślęczał... urywa.

Jan wchodząc.

Magdusiu! spostrzega furmana. A, jesteście tu, Józefie? Dobrze. To nie czekajcie, połóżcie się spać. Jak trzeba będzie, to was sam zbudzę. Tak około jedenastej... chociaż nie wiem jeszcze... Ma być posłaniec...

Józef.

No to ja już nie zaspię. A któraż teraz?

Jan.

Dziesiąta, zdaje mi się.

Józef.

Ho, to prędko zleci. Ani spać niema co. Wychodzi.

Scena IV.

Jan, Magdusia.

Jan.

Rozpaliłaś już? Dobrze. Dziękuję. Możesz iść spać. Albo, jak chcesz zaczekać... Światła nie gaś. Jakby posłaniec przybył... Ale zresztą... ja będę czuwał. Dobranoc... zwraca się ku drzwiom na wprost.

Magdusia za nim.

Pa...nie...

Jan zatrzymuje się.

Cóż chcesz mi jeszcze powiedzieć?

Magdusia milcząc patrzy w ziemię.

Jan zbliża się.

No, mów-że śmiało. Może jaką prośbę masz... Przecież przedemną winnaś być otwartą. Wiesz, jakom ci życzliwy...

Magdusia.

O! wiem, ani ja nie warta...

Jan.

Tak nie myśl. Dobre serce Bóg najdrożej ceni. A ty masz dobre serce... po chwili. I nie powiesz mi? Może chcesz pani powiedzieć? czyni ruch ku drzwiom.

Magdusia prędko.

O nie, nie!

Jan.

No więc... Magdusia zwraca się twarzą do okna. Ale cóżeś ty taka blada, dziecko? Czyś ty nie chora? Powiedz. Może się silisz, aby nas nie martwić? Już od jakiegoś czasu widzę, że ci coś dolega — może cię te sny trapią?...

Magdusia składając dłonie zbliża się do Jana.

O panie! chce go pocałować w rękę.

Jan usuwa rękę.

Nie trzeba.

Magdusia.

Ja już dawno panu chciałam... Ale nie śmiałam przy gościach... Zresztą, myślałam se w duchu: może to jeno strach mój... Ale widzę, że nie, choć się naprawdę czegoś lękam... sama nie wiem... Czasem siedzę — i nagle dreszcz mnie przeleci całą... O panie! Cosi się złego gotuje...

Jan.

Dziecko, nie trwóż się... To, widzisz, dreszcz idzie po sercach, bo się Polska budzi...

Magdusia.

To wojna ma być? Jan przytakuje. Bo słyna idzie, że się panowie gotują na chłopów. Opowiadała niewiasta Żurkowa, jak powróciła z Zalesia od ojców, że tam mówili, że od Podgórza ćma panów idzie. I chłopi się też stroją...

Jan.

Nie, dziecko. Panowie i chłopi razem, to jest: Polacy, gotują się na Niemców, co nam zabrali kraj. A tamto to są bajki...

Magdusia.

Mnie o inszych nie idzie, ino o pana...

Jan.

W Bogu ufność...

Magdusia.

Niech pan lepiej na ten czas pojedzie tam, gdzie niema wojny. Bo choć pan taki dobry — i nikt nie powinien mieć do pana złości — ale we wojnie nie patrzą, kto dobry, a kto zły...

Jan.

Ty, dziecko, nie znasz tych spraw. Lepiej nie myślij o tem.

Magdusia.

Jakże nie myśleć, panie, kiedy się samo myśli?... Ja może nie wiem wszystkiego, bo ludzie mi nie powiedzą, bo wiedzą, że ja... Ale co słyszę po stronie, to... Ja wiem jeno, że się coś złego gotuje... Gwary nie dobre chodzą... I dziadki takie dziwne pieśni śpiewają przy drogach... Kiedyś wracałam od pachciarki — i słyszę lirę i dziadka śpiewającego... Przystanęłam na chwilkę... Do dziśdnia tę pieśń w uszach i w sercu słyszę — tak mię mocno przejęła... takie słowa... Panie, kto te pieśni układa?

Jan.

Ludzie od Boga natchnieni.

Magdusia.

Ja se też tak dumała... A dawniej tom myślała, że pieśni z nieba spadują, a dziadkowie je znajdują, a ludzie się od dziadków uczą. To pewnie że od Boga, bo któżby naprzód mógł wiedzieć... Dlatego też — niech pan lepiej wyjedzie zawczasu. Żeby pan słyszał... Żeby ja panu cały ten strach dała... toby pan może... Nie umiem powiedzieć... Jeszcze wojny niema, a już natury złe nabierają śmiałości i podnoszą łby, jak gady mściwe. Choć mnie dziesiąte nie doleci... Furman opowiadał, jak Matus kiedyś wygadywał w karczmie na pana.

Jan.

Rzeczywiście — ten chłopak ma niedobre serce. W ten sposób mści się widać, żem mu nie ułatwił ożenku podług jego myśli. Bo on tu kiedyś był z ojcem — nakłaniałem go, aby się z tobą ożenił...

Magdusia.

O panie! wolałabym śmierć...

Jan.

Hm — to ja nie wiedziałem, że ty go tak nie

lubisz. No tak, on nie jest dobry, nie jest... Czemuż ty płaczesz? Że ci to może przykre rzeczy przywiodło na pamięć? No nie płacz, uspokój się — od ludzi się cierpi i dla ludzi... Win swoich jeno się płacze — a ty tu nie masz winy...

Magdusia osuwa się Janowi do kolan.

O panie szlachetny, złoty! Jaby panu stopy temi łzami obmywała... Czy ja to zasługuję? Płacze.

Jan.

Wstań dziecko. Przed Bogiem się jeno klęka.

Magdusia.

To pan mój Bóg!...

Jan.

Zastanów się — co mówisz —

Magdusia.

Ludzie mnie wyszydzali... w kościele miejsca nie było... Co ja łez wypłakała z hańby... A pan mnie przygarnął razem z dzieckiem, jak Pan Jezus grzesznicę... i nigdy słowa przykrego, ale jeszcze łagodne, że ani w niebie może tak słodko nie mówią. Żeby ja sto serc miała, tobym się nie odpłaciła.

Jan.

Wstańże już, nie klęcz, Magduś!...

Magdusia podnosi się.

I jak pomyślę, że pana może co złego spotkać od ludzi, to aż mi dusza z trwogi mrze... i chodzę jak ten cień... już tak od tygodnia chodzę... wyciera łzy Niech pan wyjedzie, zanim...

Jan.

Idź-że już, dziecko, spać.

Magdusia.

Już idę. Zwraca się posłusznie.

Jan.

Powiedz pani, że ogień na kominku rozniecony. Jeżeli śpi, to nie budź. Pomódl się — i za nas także.

Magdusia.

Ja tylko za pana się modlę. Podchodzi do kominka i poprawia ogień.

Jan d. s.

Dziwne serce.

Magdusia.

Dobranoc panu...

Jan.

Dobranoc. Zostaje sam. Stoi chwilę nieruchomo — zbliża się do kominka — patrzy na ogień, potem na zegar — Marya wchodzi.

Scena V.

Jan, Marya.

Marya siada przy kominku — po chwili szeptem do siebie.

Jaki dziwny ten wieczór dziś...

Jan.

Mówisz? staje.

Marya podnosi głowę.

Nie...

Jan.

Zdawało mi się... przechodzi dalej zamyślony.

Marya opuszcza głowę i opiera ją na dłoni.

Jan podchodzi do kominka i siada obok Maryi — chwila milczenia, poczem Jan poczyna mówić jakoby do siebie.

Pamiętasz, Maryo, ten wieczór, kiedym pierwszy raz był w domu ojca twojego?

Marya cicho przez zadumę.

Pamiętam.

Jan.

Przyjechałem w zapusty... Nikogo nie było... Ty jedna siedziałaś przy kominku... z pochyloną głową — jak dziś...

Marya j. w.

Pamiętam.

Jan.

Przywitaliśmy się w milczeniu i długo jeszcze w nocy siedzieliśmy bez słów... To najmilsza była rozmowa, pamiętasz?

Marya.

Bez słów...

Jan.

A ogień trzaskał głośno...

Marya.

A wiater wył na polu...

Jan.

A od stajen dolatał niewyraźny śpiew...

Śpiew za sceną w oddali.

„Lecą latami, jakby skrzydłami,
Życia mego momenta...“

Marya z lękiem.

Janie!

Śpiew j. w.

„Jak łódź po wodzie, szybka w swym chodzie,
Żaglem będąc podjęta...“

Jan.

Tak to był ten sam cichy, pogrzebowy śpiew...

Marya.

Dziwne w zapusty śpiewają tu pieśni.

Jan wstaje zwolna w zamyśleniu.

Marya z bojaźnią.

Nie odchodź...

Jan.

Zobaczę, która godzina. Podchodzi ku ścianie.

Marya.

Która?

Jan.

Nie widać dobrze. Zdaje mi się, że jedenasta. Za pół godziny powinien tu być... staje przy oknie. Prześliczna noc. Miliardy gwiazd po ziemi świecą... A jednak dziwny smętek idzie przez te pola, nie-

ukojony idzie jakiś żal... wraca. Maryo, dawno nie grałaś Szopena... siada przy niej.

Marya.

Dziś wszystko dokoła na tej ziemi gra...

Jan.

Oj prawda, że tu wszystko dziwne pieśni gra... Po chwili. Kto się urodził na tej smutnej ziemi, wieczną tęsknotę będzie z sobą niósł... po obcych stronach, po dolinach słońca, zawsze i wszędzie będzie za nim szła... a za nią — jak cień od krzyża padający — smutek i nienazwany ból... Golgota wieczna i konanie...

Marya.

Ogień gaśnie... Jan wstaje. Nie odchodź jeszcze... Taki dziwny przechodzi mnie lęk...

Jan siadając napowrót.

Przed czem? kładzie dłoń na jej włosach.

Marya drżąco.

Nie wiem...

Jan.

Może ty jesteś słaba?

Marya.

Nie... przytula się do niego. Mów, Janie, mów. Twój

głos mię uspokaja... twój dziwnie miły, słodki głos...

Jan.

Dziecina moja! gładzi jej włosy. Pamiętasz chwilę tę, gdym cię usypiał słowami? z lekkim uśmiechem. Nie pochlebne to dla mnie, lecz...

Marya.

Mój ukochany!...

Jan.

Spałaś już, a ja mówiłem jeszcze długo, bojąc się, że jak przestanę mówić, to się zbudzisz...

Głos daleko za sceną.

Lu-lu!

Marya.

Co to?

Jan.

Magdusia kołysze dziecko.

Marya d. s.

Magdusia kołysze... dziecko... swoje... szeptem, w którym jest tęskne zamyślenie. Lu-lu! Pauza.

Jan.

Tak — to był jej ten cichy, pogrzebowy śpiew. milczenie.

Marya.

Ogień dogasa. Chyli głowę.

Jan wstaje.

Północ blizko, a jego nie widać.... podchodzi zwolna do okna. Legenda przed oczyma... Tysiące roziskrzonych skier... patrzy w niebo. Królowa świtu... Gwiazdo złota! Świeć nam idącym na ostatni bój... pochyla głowę. i grobom naszym na ugorach świeć...

Marya patrząc w ogień, szeptem.

Ostatnie błyski...

Jan przy oknie.

Jaka dziwna w tym świecie harmonia tonów! Jak się to wszystko zlewa w jeden boży ład! Chryste — na ziemi przyjdź królestwo Twoje, jedyna boża harmonio serc!...

Marya j. w.

W popiele iskry gasną — i już mrok... Dziwne, że tak wszystko mija...

Jan wracając od okna.

Pamiętasz, Maryo... staje za nią, opierając dłonie o fotel. te wieczory jasne, białością wielką przepojone? Chodziliśmy, jak cienie Danta, po ogrodzie... pamiętasz?

Marya w zamyśleniu potakuje głową.

Jan.

Chwile te nieraz powracają falą... Każda ma inną barwę i swoje własne upierzenie... jakieś anielskie, białe ..

Marya w zamyśleniu.

Tak... anielskie, białe...

Jan.

Pamiętasz... hm... przypominam ci wszystko, jakby to była ostatnia godzina... rozłąki. Odchodzi zwolna — zegar powoli bije dwunastą.

Marya zrywa się.

Słyszałeś... Janie?

Jan wraca do niej.

Co? dziecko moje drogie...

Marya.

Nic... zdawało mi się... słychać dalekie wołanie sowy.

Jan.

To nic. To nasza „pójdźka“ w ogrodzie się odzywa. Nie trwóż się. Czemu tak drżysz? Moje... Może światła?

Marya.

Nie, nie... osuwa się na fotel.

Jan stoi obok niej. Milczenie.

Śpiew za sceną w oddali.

„Strach to surowy na ludzkie głowy,
Gdy marsz prędki nakażą —
Wezmą fortunę i zamkną w trunę,
Ze wszystkiego obnażą...“

Marya.

Ten śpiew idzie wskroś serca... drżąc, unosi się na ręku. Słyszałeś słowa jego, Janie!

Jan.

Tak...

Marya.

Ona wie i ostrzega... Ach! Tej zwrotki niema w całej pieśni... rzuca się ku Janowi z mocą wielką. Janie! Tych ludzi jutro nie wpuszczaj do domu!! Każ pozamykać bramy!!

Jan.

Więc ty myślisz... Nie, nie, nie... Tym ludziom ufam, jak sobie samemu. Przecież żyję z nimi, jak z braćmi. Mają we mnie sąsiada, nie pana. Skądże ci ta myśl dziwna... Nie — nie.

Marya cicho płacze.

Jan.

Uspokój się, Maryo! Ta dziewczyna opętana smutkiem. Pukanie. Kto tam? Marya słania się i opiera o ścianę.

Scena VI.

Ciż, Józef, później **Magdusia.**

Józef staje we drzwiach.

Konie już napasione. Rychło pojedziemy? Może czas...

Jan.

Zaraz... nie... nie teraz... Zaczekajcie jeszcze. Ja wam sam powiem... Józef cofa się.

Magdusia staje ze świecą we drzwiach.

Człowiek czeka...

Jan.

Niech wejdzie! odbiera od niej świecę, stawia na kominku. Magdusia odchodzi, nie zawierając drzwi.

Scena VII.

Jan, Marya, Posłaniec.

Posłaniec staje we drzwiach, omrożony cały — na skinienie Jana podchodzi i w milczeniu podaje Janowi listy.

Marya bliska omdlenia, stoi w bezruchu poprzednim, oparta ciałem o ścianę.

Jan gorączkowo rozrywa papier i czyta. Tak... Spocznij, bracie. Wskazuje ręką posłańcowi fotel. Dobrze... więc jutro. Podchodzi ku Maryi z dłońmi splecionemi. Ja na nich tylko liczę...

Kurtyna spada.

AKT III.

Scena I.

Pokój obszerny, jak w akcie I-ym. Stół długi na środku pokoju, dookoła stołki, na których siedzą: **Jędrzej, Walek, Rokita, Jastrząb, Kukulec, Łozina,** prócz nich **Matus, Urlopnik** i kilkunastu gospodarzy. W pośrodku między nimi **Jan** twarzą ku widowni. **Kubuś** po str. się kręci. Stół nakryty — na nim: talerze, miski, półmiski i t. d. Za podniesieniem kurtyny: gwar pomieszanych głosów i śmiechy ludzi sytych. Koniec obiadu.

Jan, w którego zachowaniu widać przymus wewnętrzny, następnie cierpienie, podsuwa gościom półmiski.

Proszę, jedzcie, moi mili...

Jastrząb.

O, już dość.

Walek.

Obżarstwo i pijaństwo — grzechy o pomstę do nieba wołające.

Kukulec ogryzając kość, wzdycha.

Nie sposób dostać tego śpika. Do sąsiada. Skrzepcież mnie, kumotrze.

Rokita.

Dajcie ino, my go tu wyjmiemy. Dobywają się wspólnemi siłami.

Jędrzej skończył dogryzać, spojrzał w górę. Niech jej Bóg da zdrowie, tej sarnie... dobra była.

Jan.
Więc już nie?

Walek.
Zaś by był grzech.

Jan.
Kubuś! zbierz ze stołu. Zawołaj Magdusi.

Kubuś biegnie w stronę kuchni — poślizgnął się i upadł. Zebrani wybuchają śmiechem.

Jastrząb.
Widzisz — nie nauczyłeś się jeszcze chodzić po pańskich pokojach.

Jędrzej.
Trudno ono przywyknąć do skóry, w której się człek nie ulągł. Pies najzgrabniejszy w swojej własnej sierści, choćby go tam nie wiem w co ubrał...
Kubuś wraca z Magdusią.

Scena II.

Magdusia wchodzi, zbliża się do stołu, zbiera talerze, nie podnosząc oczu — przechodząc koło Jana, spojrzała nań boleśnie i idzie dalej.

Walek.

Wezwyczajenie najtrudniejsze. I ja, jak mnie pierwszy raz pan zaprosił siedzieć, tom siedział jak na gorącem żelazie — taki mnie gorąc obiegał: tak mi się to nijako widziało.

Rokita.

Dawniej trza było stać pokornie, jak pan pies, za oknem...

Jędrzej.

Hej, abo leżeć na ławie... i rachować se kije, które suli.

Łozina.

Gorzej jeszcze bywało... do Jędrzeja. Pamiętacie wy ten słup z łańcuszkami? Przy gumnie stawał...

Jędrzej.

Ba — cóżbych nie pamiętał!

Łozina.

Ładny to był sprzęt...

Matus gdy Magdusia nadchodzi ku niemu.

Widzisz, musisz mi i tak usługować.

Magdusia rzucając talerz, który wzięła ze stołu.

Nie muszę.

Matus.

O! jak się rozwielmożniła... Cie! cie! Pedziałby kto...

Scena III.

Ciż, prócz **Magdusi.**

Jan do Kubusia.

Przynieś wina.

Łozina nuci.

Oj wino... wino... wino...

Kubuś rozstawia szklanki i śmieje się.

Jastrząb żartobliwie.

Hycla kawałek. W chałupie mu się robić nie chciało...

Rokita.

I wyśtuderował na pana — co chcecie?

Kukulec do Kubusia.

Przynieś ta tego lepszego, a wartko.

Jastrząb za nim.

Ino się spiesz! ciszej A klucze od piwnicy ostaw...

Kubuś przytakuje głową i wybiega.

Scena IV.

Ciż, prócz **Kubusia.**

Jan do Matusa.

Jakże z twoim ożenkiem?

Matus.

A! — ozmyśliłech się.

Jan.

Czyń, co ci sumienie radzi.

Matus.

Ba, kiedy ono mi nic nie radzi.

Łozina.

Matus, powiadam ci, że ty wygrasz... wygrasz terno, ino się ożeń z moją córką.

Jastrząb do Łoziny.

Słuchajcież... objaśnia go po cichu.

Jędrzej do Walka.

Raz nakazali, coby jechać ze zbożem do miasta. I zapowiedział hajduk: na tę a na tę godzinę świtaniem coby we dworze z wozem stanąć. Akurat w tę noc dziecko mi na śmierć usnęło — i ja na piekne o tej godzinie zabaczył. Zajechałech, jak już dość wysoko nad ziemię słońce wyszło, i ludzie już poodjeżdżali. Jak mnie też, wiecie, eko-

nom przywitał — tom się cosi ze dwie niedziele potem nie mógł sprościć.

Walek.

Wierzę, coby nie, przecie i ja pamiętam, choć-em dużo od was młodszy, i już takiej srogości za mnie nie bywało, jak mnie raz ociec posłali na pańskie siano grabić, czy zboże, bo już dokładnie nie baczę. Ja wtedy chłopiec był nieduży, tak prawie do pasania. Ale tak jakoś wypadło, że trza było — dni na robotę przypadały, a tu ze starszych z chałupy żadne nie miało czasu. Jużci mnie ociec posłali...

Kukulec.

Gdziesi ten huncfot zginął... ani wina, ani nic... Spogląda ku drzwiom.

Urlopnik wstaje.

Trza iść przetranspirować municyą...

Rokita.

Już je tu. Kubuś wchodzi z winem.

Scena V.

Ciż, Kubuś.

Urlopnik podchodząc do Kubusia.

Hab-acht! wskazuje ręką Łozinę. Dyrekcyon: ta łysa głowa, co tam siedzi... Śmiech.

Jan.

Wyjmij flaszki i postaw. Kubuś stawia na stole butelki z kosza i podaje Janowi, który chce otworzyć.

Rokita do Jana.

Dajcież panie, bo nie dacie rady. Odkorkowuje parę flaszek. Jan nalewa.

Walek do Jędrzeja.

...Tom potem wolał w chałupie najcięższe roboty robić, niżeli iść na pańskie. Ociec mnie też już nie posyłali — sami chodzili, abo siostra, dokąd była w domu.

Kukulec do Kubusia.

Wódki tu nie miewacie?

Kubuś.

Nie.

Kukulec.

I cóż to za państwo?

Łozina do Walka.

Hej! jak se człowiek wspomni! to aż... Ale cicho... Pan Bóg wie, co robi.

Jan ze szklanką w ręce.

Za zdrowie wasze! Nikt nie pije?

Kukulec.

Zaraz, zaraz, panie.

Urlopnik podał manierkę, i dolewają sobie, podając kolejno.

Jan strwożony.

Wino z rumem? zgodzi się??

Kukulec.

Coby się nie zgodziło... to trunek, i to trunek...

Jan.

Ależ to gorycz!

Jastrząb.

Ho! sumienie chłopskie twarde, to wytrzyma... Trącają się niektórzy z Janem. A pani się z nami nie napije?

Jan.

Żona słaba.

Jastrząb.

O, to szkoda! Byłaby się pokrzepiła, a tak... moc Boska! do Łoziny W ręce, kumie!

Łozina.

Na zdrowie!

Urlopnik do Matusa.

Alzo! Pij, kamracie! piją.

Łozina opierając głowę na ręku, twarzą zwrócony w stronę Jana.

Pamiętam... w mięsopuście... bedzie temu ze trzydzieści roków, abo i więcy. Jeszcze pan mały był, abo może pana jeszcze i nie było... Przychodzę ja o takim czasie — gwar po całym dworze dookoła — dziedzic wydawał bal... Staję przed nim — schylam się do nóg: „Jaśnie wielmożny panie! — mówię — ni mogę nijakim sposobem jechać po siągi do lasa, bo mi baba zaległa na piekne i choruje...“ A on — ociec pański naremny był, jak pieron — dolatuje ku mnie i powiada: „Nie pojedziesz, to ja ci w nocy chałupę ozbierę i spale, a ty psia-krew — powiada — pilnuj swojej baby na mrozie“.

Jan zrywa się, odtrąca stołek i poczyna chodzić po pokoju w zdenerwowaniu.

Jędrzej.

Ho! dyć oni tak umieją. Jak i ten pieklarz okoliczny, co go to Pietrem nazywają z imienia...

Scena VI.

Magdusia wchodzi, zbliża się do Jana, mówi coś do niego na boku, widać o coś błaga, rzucając niespokojne spojrzenia ku stołowi.

Walek.

Od niego też to pewnie poszło, że jak się kto boi, to mówią: ma pietra... bo jego imię tak stracha...

Matus.

Przyjdzie on mi do garści, ino...

Jastrząb.

Stul-że pysk, boś nie w karczmie — rozumiesz?

Matus ciszej do urlopnika.

Tę psią-krew żeby dostać, ołupić ze skóry...

Kukulec nachylając się ku nim.

Ba! kiedy jego wieś ani piśnie, tak ją mocno trzyma...

Urlopnik.

Sakramencki naród! boi się. Spoglądają bokiem na Jana i raczą się winem; Kubuś wypija pozostałe resztki. Magdusia w niepokoju ogromnym odchodzi.

Jan zwracając się ku stołowi.

Przepraszam, zajrzę na chwilkę do mojej pani... Raczcie się tu sami tymczasem. Wychodzi.

Scena VII.

Ciż prócz **Magdusi i Jana.**

Chwila ciszy, naraz wybuch tłumionego śmiechu.

Jastrząb.

Czy aby się nie pomiarkował? Idź-no, Matus, wyjrzyj, coby nie uciekł.

Matus.

Możecie i wy — kto wam broni?

Kukulec.

Kurza ślepota! Nie bójcie się. On tu wnetki wróci... Szynkuje resztę wina.

Jastrząb do Kubusia.

A klucze od piwnicy ostawiłeś?

Kubuś.

No! śmieje się.

Jastrząb.

Masz rozum, bo inaczej... grozi mu pięścią. Część gości wstaje od stołu i spaceruje po sali z udaną nadętością. Kilku przypatruje się malowanym ścianom, wiszącym sztychom, dotyka rzeczy różnych; reszta siedzi.

Gość 1.

Co to na tych obrazkach za święci?

Gość 2.

To pewnie jacyś pańscy święci, których my nie znamy...

Gość 3.

Nic tu godnego nima.

Gość 4 oglądając drzwiczki od pieca.

Te drzwiczki by mi się zdały. Takie akurat do piecyka...

Urlopnik przechylając się nad stołem

Z becyrku idzie befel... becalunk niemały...

Matuś.

Juh...! aż mnie dłonie świędzą...

Gość 1.

Ten zegar nie idzie, trza go popędzić...

Jędrzej.

Wiecie, poprawdzie, to mi go i żal... Co on tu winowaty?

Rokita.

E, szkoda chłopa — telo nam dobrego zrobił...

Walek.

Ja to wam mówię, że nas pan Bóg skarze. To nie po chrześcijańsku, widzi mi się...

Gość 2.

To wino ma zadużo tęgości w sobie.

Jastrząb.

Z becyrku idzie befel — nie słyszałeś?

Kukulec.

Wierz ty panom — panowie wszyscy jednacy.

Walek.

Co to, to nie — bo przecie nasz pan, a Pietr...

Kukulec.

A czemuż ich obydwóch kazują dostawić? Oni ta wiedzą, czemu...

Łozina.

Mają-li oni w niwecz nas obrócić — lepiej, że my ich... przerywa, widząc wchodzącego Jana.

Scena VIII.

Ciż i Jan.

Jan wchodzi zwolna w zasępieniu, lecz idąc ku stołowi ożywia się nerwowo. Czemuż nie pijecie? Proszę... dolewa wina

Domyślacie się już może, po co was tylu zaprosiłem...

Jastrząb.

O jej!...

Jan.

Dziś żeby można wszystek lud zgromadzić, od Karpat i od morza, na tę wielką ucztę...

Kukulec n. s.

Czy ona ta wielka była — nie powiem.

Jan.

Człowiek by oddał wszystko, nie żałując mienia...

Łozina n. s.

Już po niewczasie...

Jan.

Gotuje się dziś wielkie święto...

Urlopnik

A co? nie mówiłem?

Ktoś stojący pod zegarem pociągnął za sznurek — pozytywka w zegarze zaczyna grać cicho melodyę „Jeszcze Polska" — ogromne zdziwienie — Jan zamilkł.

Gość 1.

Samo gra...

Gość 2.

Juści samo...

Gość 3.

Co to jest?

Jan.

Marsz wojska polskiego.

Gość 4.

Taki cichy?

Urlopnik.

Ja nie takie marsze słyszał! Jak my stali pod Widniem...

Walek.

Cicho-no... melodja się w połowie urywa.

Matus.

Oho!

Jastrząb.

Jeść mu nie dali, i ustał...

Wszyscy.

Ha! ha! ha!

Urlopnik.

Jak my stali pod Widniem, to my mieli taką

bandę przy regimencie co ino same marsze grała. Na każdy sontag maszerowali my w kirchparadzie do miasta — do kirchy, bo tam kościołów niema, ino kirchy — a banda grała marsze, aże się Wideń trząsł. Frajliny z okien wyzierały... A jak my szli koło Burgu, to się sam Najjaśniejszy pan cudował... i potem kazał tę bandę do siebie sprowadzić, coby mu grała. Po pięć cwancigerów gieltagu dostawał każdy — a nic innego nie robili, ino te marsze grywali. Pięć cwancigierów na dzień... pomyślenie! Ale też grali...

Podczas opowiadania urlopnika pod oknem staje dziad i wpatruje się łakomo w stół zastawiony.

Scena IX.

Ciż i Dziad.

Jan dojrzawszy dziada, przyzywa go ruchem ręki.

Dziad nieśmiało wchodzi.

Jan do Kubusia.

Przynieś obiad... prędko... Czemu stoisz i patrzysz nierozumnie?

Kukulec.

Nie może się mu w głowie pomieścić, jako to...

Jan gniewnie.

Przynieś obiad. Kubuś wybiega. Jan zmęczonym głosem.

Siadaj człowiecze... wskazuje dziadowi swój stołek, sam chodzi.

Dziad rzuca torbę, kij, czapkę, idzie sztywnie i siada, oglądając się z niedowierzaniem na Jana, jakby w obawie, że żart z niego czyni. Kubuś przynosi obiad, udając, że nie wie, gdzie postawić. Jan mu wskazuje — on zanosi, dziad jeszcze nie dowierza.

Jan.

Jedzcie.

Dziad bierze mięso w rękę i łakomie je.

Jastrząb.

Człek roki zeżył — z dziadami nie jadał.

Kukulec.

To la nas oczywista obraza — czy nie?

Matus.

He! he! he! Dziadku. Macie teraz bal. Ani wam w raju tak nie bedzie... Śmiech.

Jędrzej do Łoziny.

Pijmy! co se mamy żałować!...

Łozina.

Za nieboszczyka ojca... he! he! he!

Kukulec.

Świat się ino odmienia, a ludzie zawdy ci sami...

Łozina.

Sprawiedliwość musi być na wierzchu.

Gość 1 do Jana.

Nad czem to tak medytujecie? Hę?

Kukulec do Jana.

Możebyście siedli przy nas chwileczkę?...

Jędrzej.

Dejcie spokój kumie — niech se myśli...

Łozina.

Przeznaczenie nad ludźmi wisi — nic nie pomoże!

Urlopnik.

Jak my stali pod Widniem...

Matus.

He! he! he! dziadku! Myślicie se na cały rok pojeść? puszcza dziadowi w oczy dym z fajki, co budzi ogólny śmiech — dziad wyciera oczy i je dalej.

Kukulec.

Nie trubujcie się dziadku, Pan Jezus miłościwy na ludziska... dostanie się i wam —

Urlopnik do Matusa.

Ozkwaterunek jak się patrzy — co tydzień insza frairka — a menaż jak u cesarza...

Rokita dosłyszawszy ostatnie słowo, poczyna se nucić.

Cesarzu, cesarzu, wielgomożny panie,
Dałeś mi szabelkę...

Urlopnik do Matusa.

Powiadam ci: zwerbuj sie...

Rokita.

Werbuj się — szykuj się do jenfanteryi —
Dadzą ci konisia...

Łozina bije pięścią w stół.

Sprawiedliwość musi być na wierzchu — nic nie pomoże!

Urlopnik.

Powiadają Niemce, że my cudzoziemce...
A my se Polacy, chłopcy Ostryjacy! Juh!

Jan wyczekując chwili stosownej do przemowy, chodzi zdenerwowany coraz większemi krokami — gdy hałas się wzmaga, podchodzi do stołu i poczyna z podniesioną ręką.

Słuchajcie, bracia! nadszedł nareszcie czas, w któ-

rym my — synowie jednej Matki, tej ziemi nieszczęśliwej, od pół wieku jęczącej w niewoli i na trzy części rozdartej...

Scena X.

Magdusia wpada.

Ludzie jacyś! ciszej do Jana z trwogą. Ratuj się, panie!

Jednocześnie słychać gwar za sceną, poruszenie przy stole.

Jastrząb.

Oho! spóźnili się na obiad...

Jan.

Co to ma znaczyć?

Scena XI.

Marya we drzwiach w negliżu.

Janie, co to za hałasy?

Jastrząb.

E, nic takiego wielemożna pani — kamraci nasi.

Tłum za sceną.

Hura!

Jastrząb.

Odpowiedzmy.

Wszyscy.

Hura!

Magdusia do Jana z rozpaczą.

Ratuj się, panie! przypada mu do nóg.

Tłum za sceną.

Dawajcie pana!

Matus podchodzi do drzwi, aby otworzyć.

Magdusia zastępuje mu drogę.

Psie podły! szamocze się z nim, wyrywa mu klucz i biegnie do Jana.

Marya z krzykiem.

Janie! chce biedz, chwieje się, i pada.

Jan chce ku niej, ale mu zastępują drogę. Magduś! wskazuje oczyma żonę. Magdusia podnosi Maryę i wyprowadza.

Scena XII.

Jan do otaczających go.

I wy przeciwko mnie? i wy?... Biesiadnicy patrzą po sobie, cofają się.

Urlopnik występuje.

Z becyrku idzie befel — czy nie rozumiecie?

Tłum za sceną.

Dawajcie pana! —

Biesiadnicy zbliżają się do Jana — paru niesie powrozy, które skądś nagle wydobyli.

Jan.

Pozwólcie mi słowo przepowiedzieć..

Paru z gości.

Nie!

Łozina.

Cicho, cicho — niech powie.

Jan.

Zaraz... jakiego słową użyć, aby was tem słowem wstrzymać... Co czynicie! Zastanówcie się w sercach. Jaki was szatan zmienił? Na Chrystusa, na Jego śmierć niewinną zaklinam: stójcie!... bo straszną zbrodnię poczynacie,.. Kto was skusił? Bracia! opamiętajcie się. Czy Bóg ślepotę na was rzucił? Przecież to ja tu stoję przed wami — wasz sąsiad i brat szczery... Któż wam był więcej życzliwym nademnie? Czy miał który z was brata życzliwszego? Wspomnijcie w tej chwili wszystko, coście odemnie doznali — czyście doznali co złego? Ja dla was cały żył... O, żebym wam mógł serce otworzyć przed oczy!... Za sceną pożar. Przysięgam wam na zbawienie, jeżeli jeszcze nie wierzycie, że całą duszą pragnąłem szczęścia dla was.. Bracia!...

Walek ze łzami.

Dość już, dość, panie, już nie mówcie — nie żalcie se serca... ocierając łzy rękawem, podaje powrozy. Łozina wiąże.

Jan d. s.

Pawle! Pawle!...

Łozina.

Kogoż to wołacie? Darmo. Sprawiedliwość musi być na wierzchu. Przyciąga powrozy. Tak...

Kurtyna spada.

KONIEC.

W Porębie Wielkiej, 1899 r.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Kielcach Biblioteka Główna

2lv

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
101631

Biblioteka WSP Kielce
0159407